

Zapach papierowych drzew

Marta Bizoń, kobieta o twarzy arystokratycznego kota bez sierści i o głosie tak puszystym, że nic, tylko głaskać przez pełną, wieczorną godzinę kolejnej mej niedzieli bez sensu – niczego ode mnie nie chciała. Ode mnie i od nikogo, kto o 19.00 na widowni Sceny Pod Ratuszem zasiadł, by... co właściwie? Wziąć kulturalny udział w kulturalnym wieczorze niedzielnym? Może byśmy tak, kochanie, do teatru udali się?... Jak najbardziej, najdroższy, do teatru udajmy się! Czy tak? Czy też podskórnie o istotę sztuki szło nam? O to, by przez godzinę z niewielkim minutowym hakiem – tylko być, pobyc sobie ze sobą, ze swym okiem uspokojonym, z okiem nie nerwowym i z łapą wreszcie nie szukającą oparcia w ciękłych, przeźroczystych, pięćdziesięciogramowych ukojenia?

Waham się, bo owszem, o przedstawieniu teatralnym mówię, o przedstawieniu „Neapol, 19.03”, gdzie Bizoń śpiewa 16 pieśni niepojętego miasta, o swadzie którego drukowany w programie Curzio Malaparte pisał: „*Był to zapach o nadzwyczajnej czystości oraz lekkości: nieskażony, zwiewny, niczym zapach morskiej kurza- wy, słonej nocy, zapach odwiecznego lasu papierowych drzew*”. Tak, chwilejny jestem, bo tu trzeba – drogi Czytelniku, któremu tylko o toporne informacyjki idzie – o recitalu, przedstawieniu, aktorstwie, reżyserii, scenografii, muzyce i tym podobnych nicościach pisać, a jak o nicościach informować, gdy one zbyt toporne są w tym wypadku?

Fachowość, którą Bóg łaskawy mnie nie pokarał, nazywam tutaj nicością, bo bywa – i seansik przez Pawła Szumca wyreżyserowany jest ściśle z tego gatunku – bywa mianowicie, że fachowe kategorie recenzentstwa dennie uniwersyteckiego można co najwyżej o kant krasnala rozłuć. Słowem – nie! Wcale się nie waham. Kobieta o twarzy arystokratycznego kota bez sierści i o głosie puszystym tak, że nic, tylko głaskać – śpiewa-

ła pomimo mnie. To jest, śmiej twierdzić, początek, środek i koniec sztuki prawdziwie czystej. Żeby nie teoretyzować, powiem: gdy czytam takiego na przykład Hrabala, mam pewność, że moje istnienie Hrabal ma głęboko. I to jest pewność fundamentalnie cudowna. Tylko tak można się porozumieć naprawdę. Bizoń śpiewała obok mego istnienia. Śpiewała dla siebie. I dlatego, siedząc na widowni, byłem fenomenalnie, bo po to tylko byłem, by być wyłącznie po ludzku. To znaczy – by łowić intymność.

O sztuce prawdziwie czystej trzeba pisać tak, jak Malaparte pisał o genialnie nieuchwytnym swadzie Neapolu. „*Zapach odwiecznego lasu papierowych drzew*”. Tragedia nie tylko na tym polega, że nie jestem Malaparte. Tragedia polega głównie na tym, że ci, co pojmują, że fraz o sztuce pisanych nie wolno czytać tak debilnie, jak się programy kin i teatrów czyta, są gatunkiem wymierającym. Czytając litery – nie czyta się naprawdę. Tak czytając – tylko zasłania się swój studzienny analfabetyzm. Czy Bizoń piała fachowo, czyiefachowo? Czy Marek Braun uczynił scenografię światem ładnym czy brzydkim? Po której stronie sceny stał mikrofon? A reżyser Szumiec? Umie on ci reżyserować czy też ani dudu? To nie moje sprawy. Nie moja nicość. Moją sprawą jest, że Bizoń śpiewała i niczego ode mnie nie chciała. Ja więc patrzyłem, słuchałem – i też niczego od niej nie chciałem. Porozumieliśmy się. Jak nigdy.

Filozof powiada, że zdania wartościujące nie są ani prawdziwe, ani fałszywe. Tak, nadwiślańska krytyka teatralna bywa potwornie przykrą nicością. Mówię o tym wszystkim, bo problem, czy twarz Bizoń ładna jest, czy też nieładna – nic nie ma tutaj do rzeczy. Ona ma twarz arystokratycznego kota bez sierści i głos puszysty tak, że nic, tylko głaskać. Śpiewa pieśni neapolitańskie, ale nie śpiewa Neapolu. Nie zgrywa się na bycie ko-

biętą pachnącą odwiecznym lasem papierowych drzew. Ona ma w swym śpiewaniu – z samą sobą parę spraw do załatwienia. Nam nic do tej intymności. Sprawy ze skórą, co jest jak miód. Z okiem ciemnym ciemnością zmierzchu. Z wargami, z palcem, z włosami, z piersią i udem. Kto wie, może tu chodzi też o miłość? Albo o obojętność, której się wstydzi? Albo o jakieś zaniechanie, co go się już nie da naprawić? Albo o ból? Szumiec przetłumaczył 16 pieśni. Dał Bizoń konfesję w 16 odsłonach. I swą delikatnością skierował nam palce na nasze usta. Tyle.

„Neapol, 19.03”. Wielka jest druga część tego tytułu. 19.03, 03, trzy, trzecia minuta, prawie nic, mgnienie, pstryknięcie na palcach, piosenka. Minuta. Minuta bez oficjalnego znaczenia. Jakaś minuta jakiejś godziny w jakimś mieście. Na przykład – w Neapolu. Albo w Krakowie. Minuta mojej niedzieli bez sensu albo twojej niedzieli z sensem. Minuta szesnastu pieśni, w której kobieta o twarzy arystokratycznego kota bez sierści i o głosie puszystym tak, że nic, tylko głaskać, dotykała siebie i niczego od nikogo nie chciała. Minuta albo godzina... Obojętne. Gdy Konrad Mastyło, mistrz muzycznej ceremonii, przebrany za bohatera powieści naszego dzieciństwa zatytułowanej „Timur i jego drużyna”, brał na kolana akordeon i pozwalał mu oddychać, Bizoń uważnie patrzyła w chłód szarych cegieł za naszymi plecami. On z cielska potwora, co ma brzuch w harmonijkę zmarszczony, dobywał brzmienie łyzy. A ona? Chyba widziała istotę rzeczy. Czuła jej swąd. W czystym teatrze chłód szarych cegieł ma zapach odwiecznego lasu papierowych drzew.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. „Neapol, 19.03”. Reżyseria Paweł Szumiec. Przerznięni Marek Braun. Kostiumy Jolanta Łagowska. Aranżacje piosenek Jacek Skowroński.